



SYLWIA TROJANOWSKA SZKOŁA LATANIA

TRYLOGIA SZKOŁA LATANIA

TOM 1

O DRODZE DO POKOCHANIA
SIEBIE – DECYZJI, KTÓRA
ZMIENIA WSZYSTKO



AXIS MUNDI
WYDAWNICTWO

SYLWIA
TROJANOWSKA
SZKOŁA
LATANIA

TRYLOGIA SZKOŁA LATANIA
TOM I



Copyright© 2026 by Sylwia Trojanowska
Copyright for this edition © 2026 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Malwina Kozłowska

KOREKTA: Katarzyna Szajowska

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

ZDJĘCIE AUTORKI: Wojciech Ciszewicz

ILUSTRACJE NA OKŁADCE: © KatyaKatya @ Adobe stock

WYDANIE II

ISBN PRINT: 978-83-8412-795-7

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-796-4

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-797-1

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Jan Żaborowski

woblink

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Spis treści](#)

[Słowem wstępu](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1. Dno](#)

[Rozdział 2. Trzycyfrowy wynik](#)

Rozdział 3. Anonimowi

Rozdział 4. Zasady

Rozdział 5. Początek końca

Rozdział 6. Vinci Tower

Rozdział 7. Wszelkie odcienie czerwieni, brązu i fioletu

Rozdział 8. Krowa jest tylko jedna

Rozdział 9. Mio Dio

Rozdział 10. Słynna Zośka

Rozdział 11. Najdziwniejsze z dziwnych

Rozdział 12. Pierwszy list

Rozdział 13. Dziwne wrażenie szczęśliwości

Rozdział 14. Czy ja mam na drugie imię Rozterka?

Rozdział 15. Wyjazd, czyli koniec świata

Rozdział 16. „Gruby” nie dla wszystkich oznacza to samo

Rozdział 17. Skuteczne rady

Rozdział 18. Nadzwyczaj radosne dni

Rozdział 19. Lżejszy krok

Rozdział 20. Franciszka Księżopolanka
Rozdział 21. Gorzki smak strachu
Rozdział 22. Jeszcze więcej myśli
Rozdział 23. Angielski pacjent
Rozdział 24. Nocny gość
Rozdział 25. To ona?
Rozdział 26. Viola
Rozdział 27. Powroty babci Zuzy
Rozdział 28. Blisko, coraz bliżej
Rozdział 29. On nie jest dla ciebie, gówniario!
Rozdział 30. Tylko czerwony Mercedes
Rozdział 31. Ostatni list

Dla Iwony Mokrzejkiej, Grażyny Wróbel
i Katarzyny Chojnackiej-Musiał
– za wsparcie w moim literackim świecie
i w prowadzeniu grupy
Fani książek Sylwii Trojanowskiej.

Oraz dla moich Chłopców, za wszystko.

Słowem wstępu



Szkoła Latania została wydana w 2015 roku, jednak moja przygoda z Kasią Laską zaczęła się jeszcze wcześniej, kiedy zrobiłam pierwsze zapiski do *Szkoły Latania*. Nie do wiary, że minęło już tyle czasu!

Od tamtej pory, przez ponad dekadę, zmieniło się niemal wszystko. Napisałam wiele innych powieści, dojrzałam jako autorka i jako kobieta. Mój warsztat pisarski bardzo się zmienił– widzę to wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej. Dlatego chciałabym, abyście spojrzeli na trylogię o Kasi Lasce– *Szkołę Latania*, *Blisko chmur* i *Szept wiatru*– jak na moje początki, jak na debiut napisany przez dziewczynę, która była wtedy zupełnie inną osobą – pod kątem emocjonalnym, życiowym i literackim. Myślę, że dla tych z Was, którzy znają moje nowsze książki, może to być interesująca podróż i okazja do zobaczenia, jaką przeszłam przemianę.

Drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy!

Oddaję w Wasze ręce nowe wydanie trylogii *Szkoła Latania*. Całość została poddana bardzo gruntownej redakcji. W tym miejscu chciałam podziękować mojej wieloletniej redaktorce Malwinie Kozłowskiej za ogrom pracy i wsparcia, które od Niej otrzymałam. To wielki przywilej móc z Tobą pracować! Dziękuję także Agnieszce Mathias i Katarzynie Chojnackiej-Musiał za przedredakcyjne dyskusje, analizy i poprawki. To była tytaniczna praca– naprawdę tytaniczna– a Wy mnie ogromnie wsparłyście! Pragnęłam, by styl trylogii był bliższy mojemu obecnemu. Nie oznacza to jednak, że zmieniłam wszystko. Gdyby tak było, musiałabym

napisać powieść na nowo, a tego nie chciałam. W moim pisarskim życiu ważna jest droga, doskonalenie się, poszukiwanie stylu, formy, charakteru.

Praca nad redakcją trylogii uświadomiła mi coś ważnego– ta opowieść wcale się nie zestarzała. Historia Kasi Laski wchodzącej w dorosłość, niepewnej siebie, pozbawionej wsparcia najbliższych i zmagającej się z odrzuceniem z powodu wyglądu oraz okrucieństwem rówieśników, niestety pozostaje boleśnie aktualna. Być może nawet bardziej niż wtedy. W świecie, w którym tak łatwo ocenia się innych po wyglądzie, kilka słów potrafi zostawić ślad na całe życie. Wyśmiewanie, poniżanie, złośliwe komentarze czy pozornie niewinne żarty mogą zniszczyć poczucie własnej wartości, odebrać odwagę, zamknąć człowieka na ludzi i świat, nawet zabić. Czasem rany zadane słowami goją się znacznie dłużej niż te, które widać gołym okiem.

Słowa mają ogromną moc. Mogą podnosić, ale mogą też łamać. I właśnie dlatego to takie ważne, byśmy byli dla siebie uważniejsi, delikatniejsi i bardziej empatyczni. Nigdy do końca nie wiemy, z czym mierzy się drugi człowiek i jak wiele kosztuje go codzienne funkcjonowanie.

To właśnie dlatego postanowiłam wznowić *Szkołę Latania*. Chciałam, aby ta historia znów była dostępna– dla dziewczyn i kobiet, które nie wierzą w siebie, które nie dostrzegają własnej wartości i piękna. Chciałam, by ta książka dodała im odwagi, nadziei i siły do zawalczenia o siebie. A osobom, które nigdy nie doświadczyły odrzucenia, wyśmiewania czy słownego poniżania, życzę, aby dzięki tej historii spojrzały z większą empatią na tych, którzy każdego dnia mierzą się z oceną, brutalnymi komentarzami i samotnością.

Jeśli ta historia sprawi, że choć jedna osoba poczuje się mniej samotna, uwierzy w siebie albo spojrzy łagodniej na drugiego człowieka– będzie to

dla mnie największa nagroda.

Zapraszam Was do lektury trylogii *Szkoła Latania*, złożonej z tomów: *Szkoła Latania*, *Blisko chmur* oraz *Szept wiatru*.

Życzę Wam pięknej, poruszającej i pełnej emocji literackiej podróży.

Wasza Sylwia

Prolog



Nigdy nie myślałam, że zacznę błogosławić coś, czym przez większość dotychczasowego życia najnormalniej w świecie gardziłam. Nie chciałam na to patrzeć; dotykanie ograniczałam do minimum, a mówienie na ten temat wyeliminowałam niemal całkowicie. Kto by przypuszczał, że dzięki znienawidzonym „obwisłościom”, nadprogramowym kilogramom i cellulitowi, w niczym nieprzypominającym apetycznej skórki pomarańczy, doświadczę tego, o czym jako szczupła dziewczyna, bez konieczności pójścia na drastyczną i kompleksową terapię odchudzającą, nie miałabym pojęcia.

Jeszcze nie tak dawno byłam nastolatką z wielkimi kompleksami, nadwagą i apetytem na niemal wszystko, co dało się zjeść. Przeżuwałam, przegryzałam, popijałam. Byłam uzależniona od jedzenia! Gdy osiągnęłam dno, wydawało mi się, że jestem napompowana jakąś galaretą, falującą w moim nadmiernie rozciągniętym ciele. Nie czułam się sobą, lecz kimś całkiem obcym. Marzyłam, by po prostu zniknąć, rozpaść się na tysiąc drobnych kawałków, które utonęłyby bezpowrotnie w otchłani codziennego życia. Marzyłam, by coś przerwało moje podłe istnienie, wysysając powietrze z płuc i krew z żył.

Czy można się z czegoś takiego cieszyć? Czy można dziękować niebiosom za obelgi i wyzwiska słyszane pod swoim adresem, bo tak bardzo wyróżnia się spośród otoczenia? Czy można traktować zakwalifikowanie do grona otyłych jako coś najlepszego, co się w życiu

przytrafiło? Choć wydaje się to nieprawdopodobne– można. Jestem za to wdzięczna losowi.

ROZDZIAŁ 1

DNO



Nazywam się Katarzyna Laska, choć laska ze mnie żadna i od kiedy jestem świadoma tego, jak wyglądam, traktuję to jako kpinę losu. Jak można się nazywać Laska i wyglądać jak pączek– wielki, przerośnięty pączuch, na dodatek oblany podwójną warstwą lukru? Katarzyna Pączek... Tak, w zasadzie „Pączek” zdecydowanie bardziej pasowałby do mnie niż „Laska”, ale cóż... Jestem Laska, Katarzyna Laska. Swoje klasyczne imię zawdzięczam matce, która marzyła, bym była tak piękna i bogata jak jej ulubione aktorki: Catherine Deneuve i Katharine Hepburn. O, ironio! Gdzie mi do nich!

To było dokładnie w dniu urodzin mojego ojca. Jak każdej jesieni, wyprawiał je hucznie: sprosił do domu, odziedziczonego po swoich rodzicach, wszystkich ulubionych krewnych. Zjechały się ciotki i wujowie, kuzynki i kuzynowie– łącznie trzydzieści cztery osoby. Byli niezwykle głośni i rubaszni i mieli jedno wspólne zainteresowanie– jedzenie. Z zapałem rozprawiali o tym, co akurat znajdowało się na ich talerzach, licytując się między sobą nowinkami z branży wędliniarskiej, piekarniczej i cukierniczej. Drobiazgowo opowiadali o tym, co ciekawego udało im się zjeść ostatnimi czasy, oraz rozpływali się nad daniami, które dopiero zamierzali skosztować. Prześcigali się w barwnych opowieściach o tym, gdzie skosztowali najlepiej przyrządzoną golonkę, w której restauracji zachwycili się grillowanym turbotem i co zjedli w pierwszy oraz drugi

dzień świąt u tej czy tamtej ciotki. Pokazywali sobie zdjęcia najprzeróżniejszych specjałów i na tej podstawie dokonywali werdyktów, udając, zupełnie bezpodstawnie, wytrawnych krytyków kulinarnych.

Jedzenie– temat przewodni podczas trzydaniowego śniadania, czterodaniowego obiadu i skromnej, bo dwudaniowej kolacji. Prawili nad nim godzinami, mlaskając i bekając, tłukąc sztucami o porcelanę i stukając się szkłem.

Dopóki królował temat jedzenia, czułam się bezpiecznie. Nie musiałam się odzywać– wystarczyło, że od czasu do czasu kiwałam głową, okazując pozorne zainteresowanie. Najgorsze były jednak chwile, kiedy najgłośniejsza oratorka rodzinnych zjazdów, siostra mojego ojca Matylda, zaczynała prezentować tezy dotyczące wyższości otyłości nad byciem, jak to określiła, „wyblakłym cieniem zdrowo wyglądającego osobnika rasy ludzkiej”. Co zrozumiałe, należała do grona miłośniczek obfitych kształtów, a najbardziej ukochała sobie moje wybujale fałdy. Budząc zazdrość i poniekąd nienawiść kuzynek, musiałam prezentować „wdzięki”, a ciotka wzdychała i wyjękiwała ochy i achy nad moją figurą, która według niej powinna służyć za wzorzec dla innych.

– Należałoby cię, moja droga Katarzyno, zgłosić do konkursu miss– orzekła po wypiciu kilku kieliszków ukochanego Chianti, wprowadzając mnie w osłupienie. „Ja? Na miss? Jaką miss?”.– Te wszystkie chude, zabiedzone, niedożywione szczapy– parsknęła z obrzydzeniem– zrozumiałyby, czym jest prawdziwe piękno. Buzię to ty masz wybitnie urokliwą. Te policzki... A usta? Tylko spójrzcie. Jakby ktoś wstrzyknął jej boluks.

– Botoks, ciociu– wtrąciła jedna z kuzynek.

Natychmiast pożałowała swojej śmiałości, bo ciotka obrzuciła ją karcącym spojrzeniem.

– Bo-toks, oczywiście– podkreśliła, wracając do swojego pretensjonalnego tonu.– Tylko że w naszej rodzinie żadne cholerstwo nie jest potrzebne, żeby posiadać piękne usta, bo my po prostu je mamy!– perorowała, unosząc wypełniony po brzegi kieliszek i dając sygnał do kolejnego toastu.

Miałam nadzieję, że po opróżnieniu pękatego kieliszka rubinowego trunku ciotka przeniesie uwagę na kogoś innego, zajmie się analizą wyglądu kolejnej nadziei rodu Lasków, ale... pomyliłam się.

– No, no, no! Ty mi nigdzie, Katarzyno, nie uciekaj– przywołała mnie, kiedy próbowałam wymknąć się do kuchni. Westchnęła.– Nic nie rozumiesz! Ty powinnaś tu stać cały wieczór i być podziwiana, bo nikt– walnęła pięścią w stół, sprawiając, że wszyscy umilkli i spojrzeli na nią z przerażeniem– nikt się z tobą nie może równać. Nikt!

Zapadła cisza, przzerwana nieopatrznie przez wujka Ryszarda, który– najciszej jak potrafił– kichnął. Ciotka Matylda łypnęła na niego i cmoknąwszy, rzekła:

– Oby to było na zdrowie, Ryszardzie!– Po czym odchrząkując głośno, dodała:– Kichanie zazwyczaj oznacza pusty żołądek. Zjedz coś, na miłość boską!

Ryszard, nie zwlekając ani sekundy, rzucił się na najbliższy półmisek i zapełnił porcelanowy talerz solidną porcją sałatki warzywnej okraszonej majonezem.

Po chwili sztucce innych gości zaczęły odgrywać swoje serenady, którym towarzyszył szmer podjętych na nowo rozmów. Milczenie niepisanej głowy rodu dodawało skrzydeł nawet najpłochliwszym uczestnikom rodzinnego zjazdu– najpierw szeptem, a potem już całkiem donośnie debatowali z innymi biesiadnikami.

– Nieśmiała jest trochę...– rozbrzmiał ponownie głos ciotki.

Wzdrygnęłam się i podniosłam wzrok, błagając w myślach, by zainteresowanie moją osobą jak najszybciej się skończyło.

– Ale to akurat bez problemu da się zmienić. Gorzej z tymi oczami... Jakieś takie mocno błękitne, jakby nie nasze... To pewnie po nich– rzuciła z niechęcią ciotka, mając najwyraźniej na myśli rodzinę mojej matki.– Reszta jednakże doskonale pasuje na miss.

– Nie wydaje mi się– odezwał się mój ojciec, wprawiając wszystkich w osłupienie, bo zabieranie głosu nie leżało w jego naturze.

– Nonsens, Robercie! Co ty możesz wiedzieć o prawdziwych kobietach? Nigdy gustu nie miałeś i na żadną prawdziwą nie trafiłeś. Ja znam się na rzeczy jak nikt z naszej rodziny i mówię, że Katarzyna jest idealna. Trochę trzeba by ją podszlifować, manier nauczyć, bo przecież nie ma skąd brać wzorców na co dzień, i wystarczy. Powtarzam ci, Robercie, materiał z niej wyśmienity.

W odpowiedzi na wywody ciotki Matyldy ojciec głęboko westchnął i pokiwał głową z dezaprobatą.

– A się przekonasz, Robercie, się przekonasz! Jeszcze się nigdy nie pomyliłam!– Wychyliła pękaty kieliszek do dna.– No, wstań i obróć się, żeby wszyscy mogli się przekonać, jakiego mam nosa do talentów.

Szczerze nienawidziłam tych prezentacji! Poniżały mnie i obnażały do tego stopnia, że czułam się jak zwierzę wystawione na targu.

Jedyną osobą, która pod każdym względem wyróżniała się spośród urodzinowych gości, była moja matka. Chudziutka, o zapadniętych policzkach i niemal przezroczystej cerze, nigdy nie znalazła uznania wśród krewnych ojca– przede wszystkim dlatego, że ciotka Matylda uważała ją za anorektyczkę, a ojciec traktował jak służącą. Nikt nie okazywał jej należnego szacunku, nie pytał o zdanie; można by rzec, że w pewnym sensie nawet jej nie zauważano. Tolerowano ją tylko dlatego, że usługiwała

wyjątkowo sprawnie, nie powodując najmniejszych przestojów między kolejnymi daniami. Najdziwniejsze było to, że matka godziła się na obsługiwanie tej chmary obżartuchów bez mrugnięcia okiem, bez słowa skargi. Często powtarzała też, że to po prostu lubi.

Po kolacji, którą wcisnęła we mnie moja apodyktyczna ciotka, myślałam, że pęknę. Z przejedzenia bolał mnie brzuch, a od ciągłej paplaniny pulsowało mi w skroniach.

– Skosztuj żeberka od ciotki Wioletty– zażądała ciotka, kiedy moja matka wparowała z nowym półmiskiem.

Z przerażeniem zerknęłam na furę mięsa ociekającego tłuszczem i roztaczającego w salonie piwną woń.

– Nie chcę!– odparłam.

– Nonsens!– rzekła stanowczo.– Podaj talerz!

– Naprawdę nie mam już miejsca!

– No, już, już!

Zachowywała się tak, jakby w ogóle mnie nie słyszała. Nie miałam zamiaru wykonać jej polecenia, ale widząc zniesmaczoną minę ojca, podałam talerz.

– Wiedziałam, że się nie oprzesz– skwitowała z satysfakcją.– Dwa żeberka dla dzieciny...– mruczała pod nosem.– Dwa żeberka... To troszkę za mało. Trzy, tak, trzy żeberka. Proszę.

Oddała mi talerz, a ja poczułam, jak robi mi się niedobrze. Z zakrytymi ustami poderwałam się od stołu, wzbudzając niemałe zaskoczenie, a nawet oburzenie.

– Katarzyno!– syknął ojciec.

– Jak ty ją wychowujesz, Robercie!– usłyszałam za plecami kąśliwą uwagę ciotki Matyldy.

Wbiegłam do toalety i zamknęłam się od wewnątrz, przekonana, że za chwilę ktoś zacznie szarpać za klamkę. Nie pomyliłam się– żadne sensacji kuzynki przyczłapały za mną w nadspodziewanie szybkim tempie.

– Puściła pawia?– usłyszałam za drzwiami.

– Jeszcze nie...

– A ja chyba coś słyszałam.

– O! Chyba teraz puszcza!

– Ciociu Matylido!– krzyknęła lizusowska Zuzanna, która nigdy nie potrafiła wkraść się w łaski ciotki.– Ona puszcza pawia!

– Wracajcie do stołu!– zaordynowała Matyllda z salonu.– Jak jej przejdzie, to sama do nas wróci– dodała, a moje wścibskie kuzynki podreptały na swoje miejsca.

Kiedy po kilkunastu minutach opuściłam łazienkę– świadka mojego upokorzenia– za drzwiami nie było już wścibskich krewnych. Stała tam jedynie moja matka.

– Wszystko dobrze?– zapytała.– Chodź, zaparzę ci miętę.

Następną godzinę przetrwałam w kuchni, dochodząc do siebie. Nikt się o mnie nie upominał, co było mi wyjątkowo na rękę. Przyglądałam się bez słowa, jak moja matka zwinnie krząta się w małym pomieszczeniu, przygotowując kolejne potrawy dla wiecznie nienasyconej rodziny. Była taka szczupła, taka niepozorna, a sił miała za dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn. Zazdrościłam jej tej sprężystej sylwetki. Może i miała patykowate nogi, ale ile bym dała, żeby takie mieć. Ciało pozbawione galaretowatej masy było moim marzeniem. U mnie z każdej strony zwisały tłuszczowe fałdy, które nieustannie się poruszały, wzbudzając we mnie obrzydzenie.

– Nienawidzę swojego ciała– powiedziałam w pewnej chwili do matki.– Nie chce mi się żyć, mamó. Chciałabym przestać istnieć!

– Co ty mówisz?

– Widzisz mnie? Widzisz, jak wyglądam?– jęknęłam, zanosząc się płaczem.– Jestem potworną górą tłuszczu.

– Jesteś... moją córką– odparła, obdarzając mnie szczególnym matczynym spojrzeniem, którego dotąd nie doświadczałam, a może nie zauważałam.– Moją wymarzoną, wyśnioną córką.

– Przestań, mamó! Nie pocieszaj mnie! Jestem obleśnie gruba, ja to wiem! I... i nic tego nie zmieni! Nienawidzę siebie za to! Życie w takiej postaci jest chyba gorsze od niebytu...

– Kasieńko... Skarbie...

– Dlaczego mi na to pozwoliłaś, mamó?– zawylałam.

Podeszła do mnie, podała mi chusteczki. Pogładziła mnie po policzku i uniosła mój podbródek. Nasze spojrzenia się spotkały. W tej krótkiej chwili zobaczyłam w jej oczach troskę, zrozumienie i coś, co przypominało prośbę o przebaczenie.

– Przepraszam– wyszeptała.– Nie... nie chciałam.

Objęła mnie. Poczułam, jak cała dygocze.

– Chodź!– powiedziała, wyciągając do mnie rękę.

Znalazłyśmy się w siłowni, którą dwa lata wcześniej skompletował mój ojciec w przypływie prozdrowotnego zapału. Nigdy jednak nie miał serca do sportu, więc i tym razem zbyt szybko z niej zrezygnował.

– Zważ się!– poleciła mama.

– Tu jest waga?

– Od lat.

– Nie wiedziałam.

Spojrzałam na stojące w kącie szklane ustrojstwo i poczułam strach zmieszany ze wstydem. „Ile ja mogę ważyć?”– przemknęło mi przez myśl,

ale żadna odpowiedź nie przychodziła.

– No już!– ponagliła matka.

Gdy stanęłam na bezdusznym urządzeniu, musiałam się wychylić, żeby zobaczyć wynik.

– Ile?!– stęknęłam i poczułam, jak nogi się pode mną uginają.

Padłam jak długa.



Kiedy się ocknęłam, mama wpatrywała się we mnie zaszklonymi oczami i drżącym głosem szeptała moje imię. Obok niej stali ojciec i reszta rodziny, przyglądając mi się niczym chmara żądnych sensacji reporterów.

Nagle przy drzwiach wejściowych zrobił się rwetes. Ktoś wszedł i wszyscy zwrócili się w tamtą stronę.

– Jest pogotowie!– pisnęła jedna z kuzynek.

– No, nareszcie!– syknęła Matylda.– Długo pan kazał na siebie czekać! Do roboty, doktorze! Tam.– Wskazała w moim kierunku.– Tam jest poszkodowana. I proszę się postarać jak nigdy dotąd– dodała apodyktycznym tonem.– Straciła przytomność i porządnie uderzyła głową o podłogę.

Po chwili zobaczyłam skupioną twarz starszego mężczyzny, który marszcząc brwi, przyglądał mi się badawczo.

– Czy coś panią boli?

Zaprzeczyłam.

– Zbadam panią– oznajmił rzeczowo.

– I co pan myśli?– zapytała natarczywie ciotka, gdy doktor ledwie dotknął mojej szyi.– Co z nią, na miłość boską, co z nią?

– Proszę dać mi pracować.

– Chyba panu nie przeszkadzam?
– Przeszkadza pani. Proszę opuścić pomieszczenie!
– Ale...– Ciotka aż się zapowietrzyła.– Ta dziecina...
– Proszę, aby zostali tylko najbliżsi.
– Przecież tu są sami najbliżsi!
– Tylko opiekunowie– dodał stanowczo.
– Też mi coś!– Ciotka prychnęła i z dezaprobatą opuściła miejsce mojego kolejnego upokorzenia.

Kiedy zostaliśmy we czwórkę i nastała cisza, doktor zbadał mnie bardzo dokładnie, postępując według jakiejś rutynowej procedury: kazał unosić i opuszczać ręce, wodził palcem przed oczami i uderzał młoteczką w kolano.

– Wygląda na zwykłe omdlenie, być może z przejedzenia. Nie można jednak tego bagatelizować. Sugeruję wykonanie dokładnych badań i prześwietlenia głowy. Jest pani bardzo blada i ma podwyższone ciśnienie. A do tego... Hmm...– Doktor zwrócił się do mojej matki:– Córka powinna zrzucić trochę kilogramów, bo problemy zdrowotne, choćby omdlenia, mogą się nasilić. Serce wydaje się osłabione. Otyłość w tym wieku może mieć poważne konsekwencje.

Ryknęłam płaczem.

– Przykro mi, ale etyka zawodowa nakazuje mi szczerść w trosce o dobro pacjenta.

– Tak...– szepnęła matka, klepiąc mnie po ramieniu.– Bardzo panu dziękujemy, doktorze.

Nie patrzyłam, jak autor gorzkich słów wychodził z pomieszczenia, ale słyszałam, jak ciotka Matylda ciskała w niego pytaniami, nie pozwalając mu spokojnie opuścić domu.

Matka zaprowadziła mnie do sypialni, dając wszystkim do zrozumienia, że lekarz zalecił mi odpoczynek.

– Niestety, muszę do nich wracać– stwierdziła, gdy już leżałam w łóżku.– Ale znajdziemy rozwiązanie, obiecuję. Jutro pogadamy– dodała i domknawszy drzwi, zniknęła w szarościach korytarza.

Resztę wieczoru spędziłam w pokoju, wypłakując złość, żal i wściekłość– nie na doktora, nie na ciotkę Matyldę, lecz na siebie. Dotarło do mnie, że nikt, absolutnie nikt, nie ponosi odpowiedzialności za to, jak wyglądam. Tylko ja sama. To przecież ja pochłaniałam kilogramy słodczy, makaronu i chleba. Poza rodzinnymi ucztami, podczas których ciotka Matylda wciskała jedzenie każdemu, nikt mnie do niczego nie zmuszał. Nie byłam gęsią tuczoną na siłę. Sama tego chciałam, sama to robiłam.

– Ty durna dziewczucho...– jęknęłam.

Tępo wpatrując się w nocną szafkę, rozmyślałam, do jakiego stanu się doprowadziłam, kiedy to się zaczęło i dlaczego. Nie znalazłam żadnej odkrywczej odpowiedzi. Owszem, w mojej rodzinie od zawsze dużo się jadło, zwłaszcza w czasie zjazdów, które słynęły z uginających się stołów, ale przecież nie trwały one cały rok... Ja natomiast jadłam przez cały rok– i zdecydowanie za dużo.

– Muszę z tym skończyć!– krzyknęłam w pewnym momencie, zrywając się z łóżka.– Nie może być ze mną aż tak źle! Nie może!

Zaczęłam się rozbierać. Najpierw nieśmiało, ociągając się przy każdym ruchu, potem coraz energiczniej. Gdy zostały mi tylko rajstopy, zerwałam je z takim impetem, że zamieniły się w dwie podarte pończochy. Niemal naga podreptałam do garderoby i uchyliwszy drzwi, stanęłam oko w oko z wielkim lustrem, które zamontowano tu specjalnie z myślą o mnie– dziewczynie, która powinna podziwiać swoje wdzięki o każdej porze dnia

i nocy. Ja jednak rzadko patrzyłam na własne odbicie, a już na pewno nie takie, niemal całkowicie pozbawione ubrania.

Gdy w końcu zdobyłam się na konfrontację z bezlitosną prawdą, nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa. Istota, która naśladowała moje ruchy, budziła we mnie przerażenie i odrazę. Ten dziwny, zawieszony stan trwał dłuższą chwilę. Kiedy się ocknęłam, spoliczkowałam się tak mocno, że aż syknęłam z bólu. Westchnęłam i powiedziałam do siebie z wyrzutem:

– Jesteś gruba na własne życzenie i na własne życzenie od dziś zaczniesz chudnąć!

Gdy wybrzmiały te słowa, zrobiło mi się lekko, jakbym zrzuciła ogromny ciężar, który dotąd w niewyobrażalny sposób mnie ograniczał. Położyłam się do łóżka i czując coś na kształt względnego spokoju, próbowałam zasnąć.

ROZDZIAŁ 2

Trzycyfrowy wynik



Gdy obudziłam się rano, pierwszym, co zobaczyłam, była twarz matki. Mama delikatnie dotykała mojego policzka, wkładając w ten gest pokłady zupełnie mi obcych matczynych emocji.

– Nie wiedziałam, Kasieńko, że tyle ważysz– wyszeptała.– Jest źle.

Gwałtownie podniosłam się z łóżka.

– Źle?– Łzy napłynęły mi do oczu.– Źle to by było, gdybym ważyła dziewięćdziesiąt kilo, nawet dziewięćdziesiąt pięć, ale...– Przełknęłam ślinę, żeby powstrzymać płacz.– Sto siedem to totalna, porażająca katastrofa, mammo!

– Musimy coś z tym zrobić.

– Z tym, czyli ze mną– jęknęłam.– Nie jestem rzeczą, mammo. Nie można mnie... zutylizować!

– Nie to miałam na myśli. Nie denerwuj się. Przejdziemy przez to razem.– Jej drobne palce mocno ścisnęły moje dłonie.– Damy radę, zobaczysz.

– Nie chcę być taka... Taka gruba. Tylko co mam zrobić?

– Nie wiem. Może dieta, może ćwiczenia, może lekarz? Nigdy się nie odchudzałam, ale dowiem się, co robić. Znajdziemy kogoś, kto ci pomoże. Zrobię wszystko, co trzeba!

Ryknęłam płaczem– po części z powodu tej beznadziejnej sytuacji, po części przez matkę. Po raz pierwszy od dawna okazała mi tyle czułości.

– Płacz, kochanie, płacz. To pomaga nawet dorosłym, a ty przecież jesteś jeszcze dzieckiem.

Spojrzałam na nią z wyrzutem.

– Młodą kobietą– poprawiła się.



W tym samym tygodniu wybrałyśmy się do przychodni, w której przyjmowała jakaś specjalistka od odchudzania. Kiedy weszłam do jaskrawożółtego gabinetu, zobaczyłam kobietę po pięćdziesiątce z natapirowanymi blond włosami i o wydatnych koralowych ustach. Łączyło mnie z nią to, co dzieliło z wieloma innymi– nadmiar kilogramów. Na widok doktor Urszuli Bielawnej odetchnęłam z ulgą. Najbardziej obawiałam się trafić na kogoś szczupłego, kto mnie nie zrozumie, kto nie będzie wiedział, czym jest i z czym się wiąże nadwaga. Byłam pewna, że tylko ktoś z podobnym problemem pomoże mi we właściwy sposób.

– Nazywa się?– zaczęła oschle, nawet na mnie nie patrząc.

Czar prysł. Nogi zaczęły mi dygotać, a z gardła nie chciało wydobyć się żadne słowo.

– Nazywa się?– powtórzyła głośniej, podnosząc wzrok.

– Ka... Katarzyna Laska– wyszeptałam.

– No tak, głosik cieniutki, do wyglądu ni w ząb nie pasuje.– Cmoknęła, zapisując coś w karcie.– Nazwisko też zupełnie nieadekwatne do tego, co widać. Chce schudnąć, tak?

– Tak.

– I dobrze, bo w takich okolicznościach– obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem– nie ma innego wyjścia.

Nie wierzyłam własnym uszom. Słów krytyki od osoby, która wcale nie była ode mnie szczuplejsza, nigdy bym się nie spodziewała.

– Postanowiłyśmy coś z tym zrobić– wtrąciła moja matka, a ja znowu poczułam się jak ochłap mięsa rzucony na rzeźniczy blat.

– Szkoda, że tak późno– zripostowała lekarka.– Teraz mogą pojawić się poważne konsekwencje zaniedbań. Możemy mieć do czynienia z nieodwracalnymi skutkami otyłości. W najlepszym wypadku przeciążenie stawów, w najgorszym cukrzyca, nadciśnienie tętnicze, zaburzenia gospodarki lipidowej, a nawet stłuszczenie wątroby.

– O Boże!– Matka zrobiła przerażoną minę.

– Boga proszę w to nie mieszać! On nijak nie odpowiada za obżarstwo pani córki. Rozbiera się!– dodała.

Niechętnie wykonałam polecenie. Choć stałam w bieliźnie, czułam się całkowicie obnażona. Moje ciało było napięte do granic wytrzymałości, a pogardliwe spojrzenie doktor Bielawnej tylko to pogłębiało.

– No, no, no!– Oparła się o blat biurka i głęboko nabrała powietrza.– Mamy tu coś dużego. Coś bardzo dużego. Obróci się, tylko powoli.

Poczułam, jak zalewa mnie fala gorąca. O mało nie eksplodowałam– ze złości, frustracji i bezradności. Matka dostrzegła, że coś jest nie tak, i ruszyła mi z odsieczą.

– Proszę pani... Pani doktor...– przemówiła spokojnie.– Moja córka się denerwuje.

– I słusznie! Słusznie! Kto to widział... Taka zaniedbana...

– Proszę tak nie mówić!

– A co, mam kłamać? To szczerza prawda!

– Prawdę można przekazać tak, by nie ranić czyichś uczuć. Pani ton zdradza zupełnie inne intencje.

Lekarka na moment się zapowietrzyła.

– No dobrze. Postaram się być delikatniejsza, skoro mam tu taki kruchy materiał.

– Dziękuję– odparła matka, ignorując jej ironiczny ton.

– A więc...– Bielawna zwróciła się do mnie, wzdychając ostentacyjnie.– Trzeba cię troszkę zmniejszyć. Zgadzasz się?

Nie odpowiedziałam. Moim ciałem wstrząsnął dreszcz, który nie miał nic wspólnego z chłodem panującym w gabinecie. Zagryzłam wargi, żeby się nie odszczeknąć, ale matka nie wytrzymała.

– Jak pani może tak się odzywać do pacjentki?!

Z wrażenia aż się zakrztusiłam. Po raz pierwszy w życiu stanęła w mojej obronie– i to z siłą przekraczającą moje najśmielsze oczekiwania. Była jak kwoka chroniąca swoje maleństwo przed lisem.

– Niech pani ją klepnie, bo się udusi. Przy zatłuszczonych szyjach nigdy nic nie wiadomo– odburknęła lekarka.

Matka zesztyniała i odwróciła się w jej stronę.

– Szanowna pani, jest pani lekarzem. O ile mi wiadomo, pani głównym zadaniem jest leczenie, a nie osądzanie. Proszę więc pomóc mojej córce. Chyba że nie ma pani odpowiednich kompetencji...

Ostatnie zdanie podziało jak płachta na byka.

– Co?! Ja?! Pierwszy raz w mojej bogatej karierze zawodowej spotykam się z kimś, komu mój motywujący styl przeszkadza. Jestem uznaną specjalistką z sukcesami i wiem, jak należy leczyć takie... przypadki. Jeśli ma pani jakieś wątpliwości, nie musi pani korzystać z mojej pomocy.

– Nie podważam pani kwalifikacji, bo inaczej by mnie tu nie było. Nie podoba mi się jednak, że moja córka tak bardzo stresuje się tą wizytą. Naprawdę pani tego nie widzi?

– Zestresowana jest, bo się wstydzi swojej otyłości, droga pani.

– A pani swojej się nie wstydzi?– palnęła matka.

Poczułam nagłą ogromną chęć, żeby ją uściskać.

– Co? Ale... o czym pani mówi?

– Skarbie, ubieraj się!– rzuciła matka.– Nic tu po nas! Proszę się nie obawiać...– Spojrzała wymownie na lekarkę.– Skargi nie złożę!

Doktor Urszula Bielawna nie odpowiedziała. Najwyraźniej nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa po tej ripoście całkowicie niepozornej kobiety, którą w tamtym momencie z dumą mogłam nazywać swoją matką.

Dalsza część w wersji pełnej

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Spis treści](#)

[Słowem wstępu](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1. Dno](#)

[Rozdział 2. Trzycyfrowy wynik](#)